

Rozdział Czwarty

Ostatnio byłam przepełniona głupimi impulsami. On tam stał, chłopak, o którym obsesyjnie myślałam, szczerze mówiąc, od dwóch dni. Ale ja uciekłam w przeciwnym kierunku tak szybko, jak tylko potrafiłam.

Najwyraźniej moje instynkty jako ducha stały się tak silne, jak w czasie mojego życia. Gdybym nadal mogła odczuwać przypływ adrenaliny, z pewnością buzowałaby w moich nogach, kiedy biegłam. Duchy nie powinny być widziane, niezależnie od tego, jak bardzo by tego chciały. Cokolwiek, co temu przeczyło, wystarczyło, żeby zacząć uciekać, i to szybko.

Przynajmniej to była jedyna myśl, która pojawiła się w mojej głowie i tylko ją byłam w stanie wykonać. Ale w tym momencie odczuwałam tylko czysty strach. Huczał w mojej głowie, niemalże zagłuszając głos, który rozległ się za mną.

- Stój! Zatrzymaj się! Proszę!

Coś było w jego brzmieniu, co sprawiło, że go posłuchałam – jego głos był niski, i nadal trochę zachrypnięty od wody z rzeki, którą połknął. Słyszając załamanie w jego głosie, poczułam lekki ból w samym środku mojej klatki piersiowej. Tylko mały, niepozorny, ale też zupełnie obezwładniający ból.

Zahamowałam, żeby się zatrzymać, będąc już na drugim końcu mostu. Nadal poruszając się powoli, odwróciłam się w jego kierunku.

- Dzięki – zawołał szorstko, kołysząc się na piętach. Sądząc po jego postawie, wyglądał jakby mnie naśladował.

Skinęłam sztywno głową. Zapadła zauważalna cisza, a potem zapytał:

- Więc może wrócisz tutaj?

Potrząsnęłam głową. *Nie ma mowy.*

Nawet pomimo dzielącej nas odległości mogłam usłyszeć jego westchnięcie.

- Okej – powiedział, przeciągając „O”, jakby chciał zyskać na czasie, spokojnie rozwiązując frustrującą zagadkę. – W takim razie... mogę podejść tam do ciebie?

Zmarszczyłam brwi, nie udzielając odpowiedzi w żaden sposób. Najwyraźniej wziął moje niezdecydowanie za odpowiedź twierdzącą, ponieważ zaczął iść w moim kierunku. Celowo zwolnił krok, trzymając ręce przed sobą w powszechnym geście mówiącym „Nie skrzywdzę cię, dzikie zwierzę”.

- Nie mam złych zamiarów – zawołał i mogłam zobaczyć, że lekko się uśmiecha. Jego uśmiech był jednocześnie krzywy, słodki i niepewny.

Więc nie mogłam nic poradzić na to, że go odwzajemniłam.

Chłopak opuścił ręce i uśmiechnął się do mnie szeroko. W tym momencie tan mały ból, który czułam w klatce piersiowej, eksplodował jak bomba, ogrzewając każdy skrawek mojego ciała.

Ciepło. Było mi naprawdę gorąco. Naprawdę to czułam, tak samo jak czułam jego dotyk pod wodą. Uśmiechnęłam się szerzej.

- Czy ten uśmiech oznacza, że mogę do ciebie pojeść?

- Nie – powiedziałam cicho.

Zatrzymał się, zaskoczony moimi słowami, albo po prostu z powodu tonu, jakim to powiedziałam.

- Naprawdę? – zapytał po chwili.

- Cofnij się do trawnika – poleciłam.

Zmarszczył brwi tak, że niemal się stykały.

- Dlaczego?

- Nie lubię tej ulicy. Chcę wrócić tam. – Kiwnęłam głową w kierunku świeżego wzniesienia, które przed chwilą opuściłam.

Chłopak nadal marszczył brwi, ale kąciki jego ust znowu lekko drżały.

- W porządku – posłał mi zamyślane spojrzenie, podtrzymując mój wzrok. Przekaz był jasny: byłam frustrującą zagadką, którą ze spokojem rozwiązywał.

Następnie uśmiechnął się, zaciskając usta, a na jego policzkach ukazały się dołeczki, nadając mu wygląd małego chłopca, po czym skinął szybko głową. Schował ręce do kieszeni dżinsów, odwrócił się na pięcie i spacerem skierował się w stronę wzniesienia.

Wolno. Zbyt wolno. Przesadnie wymachując nogami w zamierzony sposób. Westchnęłam głośno.

- Mógłbyś się pośpieszyć, proszę?

Zaśmiał się, nadal się ode mnie oddalając.

- Masz zwyczaj wydawania rozkazów, wiedz o tym? Nie jesteś mistrzynią przyjacielskich pogawędek, prawda?

Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że jesteś pierwszą osobą, z którą rozmawiam od Bóg wie jak dawna, od chwili mojej śmierci...

Na głos mruknęłam tylko:

- Nie masz pojęcia.

Miałam wrażenie, że mnie usłyszał, bo zawahał się na moment. Następnie poszedł dalej, odpuszczając już sobie sztuczne wymachiwanie nogami. Kiedy oddalił się na około dziesięć stóp, zaczęłam za nim podążać. Szłam nawet wolniej od niego, starając się myśleć, myśleć i jeszcze raz *myśleć*, co zamierzałam zrobić lub powiedzieć, kiedy się zatrzyma.

Na szczęście szedł dalej, mijając czarny samochód i koniec mostu. Potem skierował się na trawę na wzniesieniu.

Tak zamartwiałam się naszą rozmową, że nie zauważyłam, kiedy się zatrzymał i odwrócił w moją stronę. Podniosłam spojrzenie akurat w momencie, żeby zdążyć zatrzymać się stopę od niego, na wyciągnięcie ręki.

Przeszył mnie strach. Mogłabym wbiec na niego. Jeśli to by się stało, mogłabym go poczuć, skóra naprzeciwko skóry, albo nie poczułabym zupełnie nic poza paralizującą, niemożliwą do pokonania barierą.

Tak czy inaczej, najwidoczniej zdał sobie sprawę, że coś było nie tak i zrobił dokładnie to, co powinien: cofnął się przede mną.

- Więc – zaczął w miarę swobodnie.

- Więc – odpowiedziałam, wpatrując się w swoje białe stopy. Czułam się jednocześnie zawstydzona, przerażona, podekscytowana.

- Jestem Joshua.

- Wiem.

- Tak myślałam.

Dobry humor, który usłyszałam w jego głosie sprawił, że podniosłam spojrzenie, napotykałam jego oczy. Tak jak myślałam, jego oczy były bardzo ciemnie, ale nie brązowe. Miały dziwny, głęboki niebieski odcień – jak niebo o północy. Byłam pewna, że jeszcze nigdy nie widziałam, żeby ktoś miał taki kolor oczu. Miały na mnie niepokojący wpływ. Czułam się jeszcze bardziej podenerwowana od samego patrzenia na nie. I nagle byłam nieprzyjemnie świadoma własnego wyglądu: splecione włosy, śmiertelnie blada skóra, beznadziejnie niewłaściwa sukienka z dekoltem, bez ramiączek, z ciasnym gorsetem i przejrzyście spódnicą. Prawdopodobnie wyglądałam jakbym stała na czele jakiegoś pokazu mody nieżywych dziewczyn. Pierwszy raz od długiego czasu chciałam mieć dostęp do lustra, jakkolwiek mogłoby to coś poprawić w przypadku kogoś, kto się w nim nie odbija ani nie może się przebrać. On jednak zdawał się nie dostrzegać mojego dyskomfortu. Zamiast tego patrzył mi prosto w oczy, uśmiechając się do mnie, choć z jego twarzy zniknęło już trochę

rozbawienia. Wyglądał teraz na bardziej zamyślonego, jakby wiedział, że między nami są jakieś tajemnice. Pytania.

- Więc – zaczął ponownie.

- Już to mówiłeś.

- Tak, to prawda. – zaśmiał się lekko i opuścił wzrok na swoje buty, w roztargnieniu przeczesując swoje włosy ręką, zatrzymując ją a karku.

Znów poczułam lekki ból, wypływający z mojego wnętrza jak puls. Ten niedbały gest – zwykle przeczesanie ręką włosów – było całkowicie ujmujące. Wyglądał tak żywo, że słowa same ze mnie wypłynęły:

- Chcesz wiedzieć co się zdarzyło, prawda?

Wzdrygnęłam się na własne słowa, mrugając jak idiotka. *Głupia, głupia, głupia.*

- Tak. Naprawdę tego chcę. – Zabrał rękę z karku i opuścił ją, wpatrując się we mnie bardziej uważnie, a rozbawienie całkowicie zniknęło z jego oczu.

Cholera.

- Cóż, to kwestia opinii, Josh – powiedziałam na głos.

- Joshua. Joshua Mayhew – poprawił natychmiast. – Ale moje imię nie jest teraz najważniejsze.

Odwrot. Musiałam zmienić temat, i to szybko, więc wyrzuciłam z siebie pierwsze pytanie, jakie przyszło mi do głowy:

- Dlaczego mam nazywać cię Joshua, skoro każdy nazywa cię Josh?

- Ty nie jesteś jak każdy – powiedział buntowniczo. – Tak czy inaczej...

Wiedział, że gram na zwłokę i chciał sprowadzić rozmowę z powrotem do poprzedniego tematu, to było jasne. Mniej jasne było to, że czy tego chciał czy nie, każde jego słowo brzmiało jak pochlebstwo.

- Um... - brnęłam dalej i zrobiłam coś, czego nie robiłam od chwili śmierci: zaczęłam się wiercić. Złapałam swoją spódnicę i zaczęłam ją wykręcać. Nie miałam pojęcia, co dalej.

Tak samo jak on, tak mi się wydawało. Obserwował mnie, kiedy dręczyłam moją spódnicę, a potem zaczął przyglądać się mojej twarzy, dopóki w końcu nie podniosłam wzroku.

- Jak masz na imię? – zapytał miękko, delikatnie. Nie starał się wrócić do poprzedniego tematu. Naprawdę chciał wiedzieć.

- Amelia.

- Jak masz na nazwisko, Amelio? – Jego głos owinął się wokół mojego imienia, a ja zmieszana, wykrztusiłam kolejną głupią odpowiedź.

- Nie znam swojego nazwiska. – Albo raczej nigdy nie byłam na tyle odważna, żeby spróbować znaleźć je na cmentarzu.

Zamrugął zaskoczony.

- Hmm. Gdzie mieszkasz?

- Tego też nie wiem.

Rozbrojona. Byłam kompletnie rozbrojona. To była jedyna rozsądna wymówka na moją głupotę.

- Okej – Znowu długie „O”. Tym razem nie brzmiało już tak zabawnie.

Spojrzał na swoje adidasy, marszcząc brwi i kopiąc czubkiem buta trawę. Schował ręce z powrotem do kieszeni i zatoczył ramionami do przodu. Odruchowy gest, który sprawił że wyglądał chłopcę i słodko. Po następnych kilku minutach ciszy znów spojrzał na mnie.

- Musimy porozmawiać o wielu rzeczach, wiesz o tym – jego oczy, poważne i natarczywe, spotkały moje. Lekki ból, który odczuwałam, rozwinął się jeszcze bardziej, kiedy mówił dalej. – Przyszedłbym cię odnaleźć wcześniej, ale nie chcieli mnie wypuścić ze szpitala. Najwidoczniej moje serce mogło... Cóż, ja mogłem... umrzeć na chwilę. W wodzie.

Przechylił głowę na bok, oceniając moją reakcję. Wzdrygnęłam się, ale nie odwróciłam wzroku. Prawdopodobnie nie wyglądałam też na zbyt zaskoczoną doborem jego słów. W końcu byłam tam, kiedy to się zdarzyło. Mój wyraz twarzy najwyraźniej dał mu odpowiedź na jakieś niewypowiedziane pytanie, ponieważ znowu skinął głową.

- Więc – zaczął – zaraz po tym, jak mnie wypuścili ze szpitala, zacząłem pytać o ciebie. Ale nikt cię nie widział tamtej nocy. Nikt z mojej rodziny, ani przyjaciół, nawet żaden z lekarzy. Nie tylko nikt nie widział cię na brzegu, ale też nie widzieli cię w wodzie ze mną. Wydawało mi się to dziwne. Ponieważ ty tam *byłaś*, prawda?

Przygryzłam dolną wargę i westchnęłam cicho.

- Wiedziałem, że sobie ciebie nie wyobraziłem. Cóż, może tak kiedy byłem, no wiesz, *martwy*. – Wypowiedział te słowa, jakby go przerażały. – Ale nie później. Nie kiedy płynąłem do brzegu ani kiedy wydostałem się z wody.

Nadal przygryzając wargę, potrząsnęłam głową. *Nie. Nie wyobraziłeś sobie mnie. Widziałeś mnie.*

- Musiałem praktycznie ukraść samochód mojego taty, żeby wydostać się dziś z domu i przyjechać tutaj, na miejsce zbrodni. I ty tu jesteś.

- Tak – wyszeptałam, nie mogąc wymyślić inteligentniejszej odpowiedzi. – Jestem tu.

- Więc – on też teraz szeptał – jest wiele spraw, o których musimy porozmawiać.

- Już to mówiłeś.

Zaśmiał się, a ten dźwięk zaskoczył nas oboje. Następnie skinął głową zdecydowanie.

- Cóż, ja to widzę tak, Amelia. Nie musimy teraz o tym rozmawiać. Muszę szybko oddać samochód tacie, ponieważ spędziłem cały ranek polując na ciebie. Poza tym, nie wydaje mi się, że chcesz rozmawiać na ten temat, zwłaszcza w tym miejscu. Nie mogę cię za to winić. – Rzucił szybkie spojrzenie na wyrwę w balustradzie, wzdrygnął się i znów spojrzał mi w oczy. Tak więc jutro będę w Parku Robber's Cave. Wiesz gdzie to jest?

Zdumiewając samą siebie, nie wierząc, że to robię, skinęłam głową.

Znałam ten park. Nagle wiedziałam to tak dobrze, jak dobrze znałam soje imię. Wiedziałam nawet w jakim kierunku jest park i jak do niego dotrzeć z miejsca, w którym teraz stałam. Wiedziałam to ze wspomnienia, prawdziwego, nie zabłysło ono nagle w mojej głowie, tylko po prostu... było.

Co ten chłopak ze mną robi?

- Okej, w porządku. Będę siedział na najbardziej pustej ławce w parku, jaką tylko znajdę. Będę tam po południu, bo, niestety, jestem wystarczająco zdrowy, żeby wrócić już jutro do szkoły. Myślę, że może nakłonię rodziców, żeby pozwolili mi opuścić piątą lekcję – zagram z nimi przyjacielską partię kart – ale mogę tam przyjechać najwcześniej po południu. Tak więc zamierzam iść do parku. I zamierzam czekać tam na ciebie.

- A co jeśli nie przyjdę?

Wzruszył ramionami.

- Uszanuję twoją prywatność. Albo będę cię ścigał po całej ziemi, co planowałem zrobić kiedy tylko wypuścili mnie ze szpitala. Prawdopodobnie wybiorę to ostatnie.

Powinam się bać. Powinam znowu uciec, schować się i przeczekać kilka lat, aż Joshua zestarzeje się i mgła znowu owinie mój martwy mózg.

Zamiast tego, uśmiechnęłam się.

Kiwnął mi lekko głową, uśmiechnął się szeroko i minął mnie, kierując się do samochodu.

- Do jutra – zawołał rzucając jedno krótkie spojrzenie za siebie.

Patrzyłam jak odchodzi, niepewna wszystkiego. Ale kiedy otworzył drzwi samochodu, znowu przeszył mnie ten obezwładniający ból.

Moje impulsy, jak się zdawało, nadal robiły nieznanne mi dotąd rzeczy, ponieważ ból wydawał się ubezwłasnowolnić całe moje ciało, z wyjątkiem moich ust.

- Joshua? – zawołałam, lekceważąc zaciśnięte w supel gardło.
- Tak? – Odwrócił się natychmiast. Mogłam przysiąc, że wyglądał, jakby czegoś oczekiwał, może nawet pragnął.
- Jak według ciebie wyglądam?
Przechylił głowę na bok, marszcząc brwi.
- Jak według ciebie wyglądam? – powtórzyłam dokładnie, bojąc się czy nie powiedziałam tego za szybko. Chciałabym mieć czas, żeby zastanowić się, czy nie brzmiałam na całkowicie pokręconą i głupią.
Joshua się uśmiechnął. Odpowiedział mi, tak cicho, że prawie niesłyszalnie.
- Pięknie. Zbyt pięknie, żeby ludzie cię nie zauważyli tamtej nocy.
- Oh – był to jedyny dźwięk, jaki mogłam z siebie wydobyć.
Wyprostował się, a potem odchrząknął.
- Więc... um... Lepiej pojedę, zanim powiem coś jeszcze, co mogłoby sprawić, że brzmiałbym jak idiota. Do jutra?
Oszołomiona kiwnęłam głową.
- Do jutra.
Joshua również skinął głową. Wsiadł do samochodu, wycofał z mostu, trzymając się z daleka od wyrwy w balustradzie. Mijając szybko ostatni zakręt samochód odjechał, znikając z pola widzenia.